

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna
KAWIARNIA J. BISANZA
 w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parte

Kronika tygodniowa.

No, troszkę się świat ożywia. Przeminał już wprawdzie olbrzymi strajk angielski, ale zaimponował swą potęgą i długo o nim jeszcze mówić będą. Bo to nie było takie strajczatko, jak bywają nasze, ale rzecz na ogromne rozmiary. Nas, c. k. Galicyan, przebieg tego strajku przejął słuszną dumą, bo nikt chyba nie zaprzeczy, że rząd angielski wobec naszego trzykawkowego okazał się nadzwyczaj niedołężny. Prostu skompromitował powagę władzy, urok jej sprowadził *ad minimum*. Jak to zaraz znać, że na czele rządu angielskiego nie stoi, jak u nas, historyk, mąż stanu, hołdujący zasadzie silnej ręki. Taka np. silna ręka, jaka kierowała ostatnimi wyborami, może się nie podobać jakimś tam wschodnim zacofanym Galicyanom, ale my, bliżsi Zachodu i cywilizacji, nad starymi przesadami czystości wyborów dawno już przeszliśmy do porządku. I tylko dziwić się musimy, że ludzie tak dobrej krwi, jak różni Dzieduszyccy, Starzyńscy, Czarkowscy Golejewscy, Stadniccy, Korytowscy, rymanowscy Potoccy i t. d. łączą się z warchołami, ba! że do nich przystał ks. biskup Walega, który powiedział na zjeździe katolickim, że na czas wyborów zawieszono konstytucję i zatruwano duszę ludu.

Kompromitacja rządu angielskiego tkwi już w tem, że istniał parę tygodni. Cóż dopiero jeżeli zważywszy, że liczba strajkujących wynosiła pół miliona, że ustał zupełnie ruch na wielu kolejach, że siła nie dopuszczono dowozu żywności, że ekscesy dochodziły do demolowania domów, niszczenia ratuszy, podpalania, czynnego oporu władzy. Wszak samych ranionych policyantów było kilkuset, a pośluzonych niktby nie zliczył. Można powiedzieć, że to była rewolucja, na wielką skalę wojna domowa. A mimo to (wstyd mi za Anglię) pomocy wojska używano raczej dla ochrony spokojnych mieszkańców, a nie dla stłumienia buntu. Kawalerya oczyszczała place i ulice bez wyrzutu, a piechota torowała sobie drogę kolbami lub ślepymi nabojami. Zaledwie w trzech wypadkach (o większej liczbie dzienniki nie donosiły), kiedy olbrzymie groźne tłumy dopuszczały się nie tylko dzieła zniszczenia, ale atakowały wojsko, zaledwie w trzech wypadkach, strzelano ostremi nabojami. I rezultatem tych strzałów było zaledwie 16 trupów, choć 50.000 wojska wystąpiło do „boju“. A u nas w Drohobyczu... Nie, rząd angielski nie dorósł do powierzonych mu misji. Bo jakże drobną była awantura drohobycka, wobec ogromu i przebiegu strajku angielskiego — a jak energicznie ją stłumiono. O ileż więc w Galicyi bezpieczniejsi czujemy się pod opieką prawa, niż biedni Anglicy. Rumień się więc Anglii i przysyłaj do nas tych, co chcą być mężami stanu, przedstawicielami władzy, energicznymi opiekunami ładu i porządku.

Ale i we Francji nie lepiej. Stłumiono wprawdzie przed kilku miesiącami rozruchy „szampańskie“, ale więcej poczyniono ustępstw, niż okazano energii. A teraz znowu nastąpił cały szereg groźnych awantur na tle drożyzny — i jakoś nic (przynajmniej do chwili, kiedy piszę) nie słychać o większych zarządzeniach dla utrzymania uroku władzy. Tym razem możemy być dumni podwójnie: naprzód, że u nas takie wybryki energicznie by stłumiono, a powtóre, że my sami do takich wybryków nie jesteśmy zdolni, że posiadamy cnotę cierpliwości w najlepszym gatunku. Bo przecież Francuzi są 10 razy od nas bogatsi, więc im drożyzna nie daje się, tak jak nam, we znaki. Prócz tego ich drożyzna nazywałaby się u nas tanizną — wszelkie płody ziemi są u nich tańsze, a mięsem zbyt się nie objadają. Wartoby ich sprowadzić do Zakopanego — niechby tam dowiedzieli się co trzeba płacić za warzywa, jarzyny i owoce, które u nich są za bezcen. Niechby im w Poroninie zaśpiewano, jak niepodpisanemu, 37 centów za furę jabłek, t. j. za trz. jabłka średniej wielkości. Niechby za funkcję „rybki kawałno“ im wydobyc z „noszyci“ z korony, kiedy oni za tę

cenę trzy funty dostaną. Wtedy by się przekonali, co to jest drożyzna — i zarazem nabraliby o nas wyobrażenia jako o Krezusach, a przynajmniej nababach indyjskich. A oni się jeszcze skarżą, karygodne demonstracje urządzają, ład i porządek publiczny naruszają, ba! nawet napadają sklepy rozbójników — chciałem powiedzieć: zacnych dostawców żywności — i pięściami na ich karkach słowa protestu wypisują. My zaś poprzestajemy na tem, że wybieramy w radzie miejskiej komisję drożyznianą, która wspólnie z magistratem dwa albo trzy razy na rok „konstatuje“ wzrastającą drożyznę i uchwała, że koniecznie by trzeba jej zaradzić, tylko niewiadomo jak. I choćby u nas funt mięsa podskoczył na guldę (dziś już kosztuje koronę), to żaden z nas nie podskoczy z argumentem pięściami ku rabusiom — cierpliwość nasza nigdy się nie wyczerpie. I dobrze jest, jak jest. Bo cnota cierpliwości, ubóstwo i niedostateczne odżywianie się, przybliżają ku nam bramy nieba. A w niebie tem nie będzie ani rzeźników, ani piekarzy, ani agraryszów, ani urzędników podatkowych, ani posłów uchwalających budowę dreadnaughtów, ani kierowników polityki miejskiej, sprzyjającej drożyznie, a nawet ją wywołującej. Tylko jest jedna obawa: czy do nieba dopuszczają i głupich, bo gdyby im wstęp był wzbroniony, to nasza cierpliwa wobec drożyzny P. T. Publiczność musiałaby obozować pod bramami raju, nie mając nawet nadziei dostania się do jego wnętrza.

We Francji obok drożyznianej jest jeszcze druga awantura: skradziono z Luwru słynną Giocondę Leonarda da Vinci. Dziennikarze całego świata mają już napisane podobno podanie do rządu francuskiego, aby nie karał złodzieja, gdyby się udało go złapać, dzięki mu bowiem w czasie posuchy dziennikarskiej można było zapełnić jako tako dzienniki traktatami o Giocondzie, ubolewaniami nad jej zniknięciem i domysłami jak dokonano jej przywłaszczenia. Gratka nie lada i nie zaniedbano jej wyzyskać. Oczywiście nie uniknięto przesady: Kradzież Giocondy postawiono na równi z nieszczęściami ludzkości. Bezspornie obraz ten jest znakiem dzieła jednego z najgenialniejszych nie tylko malarzy, ale ludzi — jednakże po pierwsze dla świata jeszcze nie zginął, bo wątpić należy, aby go ktoś ukradł w celu zniszczenia, a zginął tylko dla Luwru, powtóre gdyby nawet przepadł, byłaby to strata wprawdzie wielka, ale jeszcze nie taka, aby po niej nie warto już żyć na świecie. A tak się wydaje, kiedy się czyta artykuły zwaryowanych entuzjastów. Jeden z nich wciął: kradnijcie sobie, panowie złodzieje, co chcecie, nawet prowincje i kraje, ale nie tykajcie takich świętości jak Gioconda. Ten sam, czy inny entuzjasta nie rozumie jak złodziej może wytrzymać spojrzenie oczu patrzącej na niego z obrazu Mony Lizy. Inny cały poemat prawie pisze o jej uśmiechu, nad którym wielki artysta miał całe lata pracować, aż wydobyl coś, od czego nic doskonalszego nie znajdziesz na świecie. Są to wolne żarty. Portret Mony Lizy jest wspaniale pięknym dziełem sztuki, ale sama Mona Liza nie była żadnym wspaniałym pięknym dziełem natury. Była sobie ot niewiastą przystojną, ale nic więcej. Oczy miała ładne, ale ja widziałem wiele ładniejszych, uśmiechała się mile, ale z miłszym, piękniejszym uśmiechem zwykły, umiejający patrzeć śmiertelnik spotykać się może jeżeli nie codzień, to przynajmniej raz na miesiąc. Staję tu w obronie żyjącej za dni naszych płci pięknej, którą niesłusznie krzywdzą narwani entuzjaści. Muszą to być „zielone małpy“, kiedy na nich nie spoczęły nigdy oczy piękniejsze od oczu Mony Lizy i kiedy piękniejszym niż ona uśmiechem nie darzyły ich nasze panie czy panny, separatki czy wdówki.

Ale pomijam dalsze rozpatrywanie sprawy uśmiechów, bo obawiam się, aby mnie nie wzięto za jednego z tych kronikarzy, co na szpaltach pism flirtują z płcią piękną. Zresztą „Gioconda“ została już pomszczona — udzielono dymisji dyrektorowi Luwru i na miejsce jego powołano p. Pajaleta, który (słowa telegramów) nie odznaczył się pracami naukowymi, lecz energią i zdolnościami administracyjnymi. Widocznie (znowu możemy być dumni!) przyjmuje się we Francji system galicyjski: stanowiska wymagające wiedzy, fachowości, powierza się ludziom... energicznym. Wiceprezydentem Rady szkolnej zostaje u nas prawie z reguły nie pedagog, lecz energiczny urzędnik administracyjny; natomiast pedagogów na gwałt przerabiamy na posłów, aby zamiast dobrych dyrektorów i profesorów gimnazjalnych, mieć marnych polityków. Dyrektorami teatrów zostają u nas nie komedyopisarze lub wybitni krytycy, jak to bywa gdzieindziej, ale ludzie „bez zajęcia“, urzędnicy kolejowi, dentyści. Dyrektorami banków mianujemy przeważnie starostów, profesorów, lekarzy, b. aktorów b. kleryków, gołych hra-

biów, zbankrutowanych obywateli. W pewnej komisji artystycznej zasiada weterynarz i szynkarz. W ten sposób wyrabia się niestychana wszechstronność.

Wogóle możemy być dumni i z wielu innych powodów. Oto już w tym tygodniu rozpoczyna się proces Ronikiera, a za parę miesięcy obiecują nam sprawę Macocha. Będą to nielada „sensacje“, których echo odbije się w Europie. Niestety Macocha mają pono sądzić przy drzwiach zamkniętych. Ale za to jak pączek w masle będziemy pływać w sprawie Ronikiera. Zamówili już sobie miejsca przy stole dziennikarskim specyalni korespondenci 10 dzienników rosyjskich, *Vossische Zeitung*, *Daily Mail* i t. d.; pani Backerville ma obsługiwać pisma amerykańskie. Oczywiście dziennikarze-rodacy bohatera nie dadzą się wyprzedzić zagranicy. Już dziś całe kolumny dzienników galicyjskich zajęte są tekstem oskarżenia w streszczeniu lub w całości. Bądźmy spokojni, że z przebiegu rozprawy żaden szczegół nas nie minie, że do startu w wyścigach o zadowolenie P. T. publiczności (nagroda honorowa dam) staną dziennikarskie dwuroczniki i stare, siwe wałachy ze wszystkich obozów zarówno najpostępowszego, jak najkonserwatywniejszego, tak bezwyznaniowego jak najkatolickiego (niech uformowanie tego stopnia najwyższego nie razi gramatyków, bo obecnie największą ozdobą stylu jest brak gramatyki). A wszystko to czynić się będzie *ad majorem Poloniae gloriam*.

To też i kronikarz *Nowości*, aby być bliżej Ronikierady, opuścił Zakopane, pomimo, że ono w tej chwili jest najpiękniejsze i najmożliwsze do wytrzymania. Jak bowiem wiadomo, mieszkańcy tej „letniej stolicy“ podczas lata składają się przeważnie z bandytów i bandytek. Dwa są ich rodzaje: jeden powierzchowny, drugi rzeczywisty. Powierzchny składa się wyłącznie z młodych przybyszów: „brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa“; bandytki chodzą z worami na plecach, z włosami uciętymi, w krótkich sukniach, wykręconych trzewikach, z dziurami w czarnych pończochach; obie płci noszą ciupagi i puszczają się w góry na miłosne rozboje. W gruncie rzeczy jestto naród nieszkodliwy, tylko zbyt hałaśliwy. Rzeczywiści zaś bandyci stanowią ludność miejscową, zarówno góralską, jak osiadłą tu dla interesu. Ten drugi rodzaj bandytów obdiera bez sumienia wszystkich „gości“, zostawiając im tylko życie i kilkanaście koron na drogę powrotną.

Otóż we wrześniu pierwszy, powierzchowni bandyci, znikają — robi się spokojniej i przestrono. Drudzy zaś, rzeczywisti bandyci, nasyciwszy swą żądze łupów, stają się grzeczniejsi. Co więcej: nie jeżdżą już po Zakopanem samochody, niema tego kurzu co w głównym sezonie, ceny mieszkań i utrzymanie spadają, nie płatają ci się pod nogami stada „bębnow“, nie napadają cię damy z puszkami, nie najeżdżają cię wózki góralskie. A że i pogoda wrześniowa jest przepiękna, więc też Zakopane w tym czasie staje się wcale znośnym miejscem pobytu.



DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY
B. WIERZEJSKI, KRAKÓW, RYNEK
 róg ul. Floryańskiej.
 Telefon Nr. 0368.

Poleca już nadeszłe:
ANGIELSKIE PŁASZCZE JESIENNE i ZIMOWE.
 KURTKI do polowania. — CZAPKI i KAPELUSZE sportowe. — **OBUIE AMERYKAŃSKIE.** — GUMOWE okrycia nieprzemakalne.

Odpowiedzi Redakcyi.

Statemu Prenumeratowi w Szagajszkach: W Austrii istnieją dwa rodzaje szkół wojskowych, szkoły kadeckie, do których uczęszcza młodzież po ukończeniu czwartej klasy gimnazjalnej lub realnej i akademia wojskowa do której przyjmują maturzystów szkół średnich. Aby być przyjętym do szkoły kadeckiej lub akademii, musi się być poddanym austriackim. W Galicyi są dwie szkoły kadeckie (Łobzów pod Krakowem i Lwów), akademia znajduje się w Wiener-Neustadt pod Wiedniem.